

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH.

(SERYA IV.)

IV.

W trzecim z swoich wniosków, p. Korpaczewski żąda, aby na zgromadzeniach reprezentantów Kassy pożyczkowej przemysłowców warszawskich „wolno było być obecnym każdemu uczestnikowi, bez udziału w uchwałach i o ile obszar lokalu na to pozwoli.“

Zdawałoby się iż nic nie może być słusniejszego nad żądanie podobne. Jeżeli bowiem, jako uczestnik, odpowiadam za działalność Kassy, a właściwie jej reprezentacyi, całym swoim majątkiem, toć i cóż w tem dziwnego, że chciałbym, bodaj raz do roku dowiedzieć się i posłyszeć na własne uszy co się też w tej mojej instytucyi dzieje? Cóż w tem dziwnego lub zdrożnego być może, że chciałbym widzieć bliżej, jak też moi mandataryusze spełniają swe zadanie, o ile odpowiadają położonemu w nich zaufaniu i t. d.?

Tymczasem nie; — to być wcale nie może—odpowiada p. Temler. „Dopuszczanie — objaśnia nas p. prezes („Kraj“ Nr. 34) — uczestników, mogłoby zebraniom nadać charakter burzliwy (?), co gorsza jeszcze, jednostronny, postawić je w zależności od stronnicych agitacyj“ (?) i t. d., a zresztą, „ustawa nie nadaje bynajmniej takich praw uczestnikom“.

Wątpimy aby i ta odpowiedź mogła zadowolić bodajby najmniej wymagających lub najbardziej potulnych uczestników. Bo, najpierw, o co idzie właściwie w pierwszej jej części? Ano, mówiąc wyraźnie — o to, aby na zebrania nie dopuszczać h o ł o t y któraby się nie umiała odpowiednio zachować, albo raczej, któraby się zachowywała niespokojnie, burzliwie i t. d. Nam się zdaje jednakże, że obawy pana prezesa są zupełnie nieuzasadnione. Kto stanowi przeważną większość uczestników Kassy? Rzemieślnicy i w ogóle przemysłowcy drobni — ich to więc obecności pan Temler się obawia, ale dlaczego mianowicie? Rzemieślnicy mają swoje zebrania w cechach, miewali je wcześniej niż istniała Kassa; czy atoli słyszał ktoś o jakichś scenach skandalicznych? Zdaje się że nie; dlaczegoż więc tutaj ci sami ludzie mieliby się zachowywać „burzliwie“? Czyż zresztą wnioskodawca żąda udziału uczestników w obradach? Ależ nie; — on tylko chce ich biernej, niemej obecności, i to o tyle tylko, „o ile obszar lokalu na to pozwoli“.

Lecz i to nawet — odpowiada pan Temler — byłoby przeciwne ustawie. Przeciwnie? — a na mocy jakiego paragrafu? Wszak ustawa daje uczestnikom prawo wybierania reprezentantów; a jeżeli mają oni dopełniać wyborów, toć

muszą się gdzieś zbierać; jeżeli zaś wolno im się zbierać dla dawania głosów wyborczych, toć tembardziej wolno im być chyba obecnymi na zebraniach bez udziału w obradach, czyli bez wszelkiego już — głosu.

Przypuśćmy jednak na chwilę że tak jest rzeczywiście, jak p. Temler twierdzi, że ustawa nie daje uczestnikom takich praw, jakich się domagają, toć cóż wobec tego wypadłoby uczynić zarządowi — każdemu zarządowi szanującemu prawa stowarzyszonych i dbającemu o ich opinię, o ich dobrą wiarę? Otóż nam się zdaje, że każdy taki zarząd postarałby się co rychlej o zaspokojenie tych żądań. Chcieć wiedzieć, powiedziałby ów zarząd, (nie tylko z niezbyt jasnych dla was „sprawozdań“), jak my tu gospodarujemy, jak spełniamy udzielony nam mandat? — owszem, chodźcie, przypatrzcie się, a jeżeli ustawa ma stawać na przeszkodzie, my pierwsi postaramy się o odpowiednią zmianę i uzupełnienie. Owszem, im jawniej będziemy mogli przedstawiać wam działalność naszą, tem lepiej dla nas.

Ale właśnie zarząd Kassy — jak już sama odpowiedź jej prezesa wskazuje — jest zwolennikiem całkiem innej taktyki. O dopuszczeniu uczestników na zebrania ani słyszeć on nie chce, a nawet wszelka zmiana w osobistym składzie reprezentantów byłaby przezeń niezbyt mile widzianą.

Stwierdza to również jasno odpowiedź p. prezesa.

Ustawa (§ 42) mówi wprawdzie wyraźnie, że w miejscach wychodzących (w 1/3 części) reprezentantów, mają być wybrani *nowi*; ustawa chce przeto, aby przez wybieranie c o r a z n o w y c h reprezentantów — dopuścić do nadzoru nad działalnością Kassy jak najszersze koło s t o w a r z y s z o n y c h, odpowiadających, przypominamy znowu, za działalność tę całym swoim majątkiem, tymczasem p. Temler ów § 42-gi tłumaczy w sens taki: Prawda że ustawa zaleca wybieranie *nowych* reprezentantów, ale nie mówi wcale iżby „wychodzący nie mogli być wybrani ponownie“, a zarządowi idzie przeciwie bardzo o ludzi „doświadczonych“, praktycznych i t. d.

Niestety, takiej interpretacji tak wyraźnego orzeczenia ustawy niepodobna jest brać na seryo. Z jakiejż bowiem racyi prawodawca miał koniecznie powiedzieć to, czego właśnie powiedzieć nie chciał? A nie chciał on tego mianowicie, czego chce zarząd Kassy, to jest u t w o r z e n i a r e p r e z e n t a n t ó w d o ż y w o t n i c h. Otóż tu właśnie mamy jądro kwestyi. Zarząd chce mieć ciągle jednych i tych samych reprezentantów, czyli właściwie chce mieć tylko t a k i c h, jacy mu są dogodni, i dlatego nie waha się nawet brzmienia ustawy tłumaczyć sobie tak, jak mu jest wygodnie. Dlatego też zarząd, mimo ogólnego szemrania, nie wahał się urządzać wyborów tak, że cała ta, tyle ważna, czynność zesłała poprostu do znaczenia farsy, zbyt dobrze zresztą

znanej, iżbyśmy mieli rozpisywać się o niej. Niema, sądzimy, takiego uczestnika Kassy, któryby nie wiedział, jak się to owe pseudo-wybory odbywały, a gdy nareszcie, w ostatnim roku, na usilne domaganie się opinii stowarzyszonych, zaprowadzono pewną niby zmianę w manipulacji wyborczej, okazała się ona o tyle niewłaściwą, że stowarzyszony, pan Korpaczewski, zakwestyonował legalność tego aktu — jako aktu prostej, według oponenta — samowoli.

Zbyt wiele musielibyśmy zabrać jeszcze miejsca gdybyśmy chcieli rozbiierać wszystkie punkta dalsze — odpowiedzi p. Temlera. Podnieśliśmy i oświetlili najważniejsze tylko, a uczyniliśmy to nie ze względu jedynie na samo „wyjaśnienie“ p. prezesa, nie ze względu nawet na samą tylko Kasę. Uczyniliśmy to z pobudek ogólniejszych.

Dzięki temu systemowi gospodarki finansowej jaki zaprowadzili u nas przesławni „podskarbiowie narodu“, zarządowi wielu naszych instytucyj, opartych na stowarzyszeniu, zdaje się iż są one nie mandataryuszami tylko, nie wykonawcami jedynie woli ogółu stowarzyszonych, ale raczej dziedzicami tychże instytucyj. I gdy się też pomyśli o działalności tych naszych instytucyj prywatnych, kredytowych zwłaszcza, mimowoli przypomina się wtedy przypowieść o nosie i tabakierze. „Zarządy“ zachowują się tu i postępują tak, jak gdyby nie instytucje istniały dla publiczności, lecz publiczność dla nich.

Zjawisko to dziwne a jednak naturalne. Naturalny to wynik z jednej strony odsuwania jak najdalej uczestników od swoich stowarzyszeń, z drugiej zaś biernego zachowywania się, przez czas nadto długi, tychże uczestników. Przy takim stanie rzeczy, utrzymanie owego *m o n o p o l u k r e d y t o w e g o*, o który, rzecby można, rozbija się u nas wszystko, nie jest wcale trudnem — i cała też pociecha w tem, że tak wiecznie nie będzie, że nareszcie stowarzyszeni dopomną się o przynależne im prawa, że opinia, zbyt długo obalamucana wpływem prasy żydowskiej — ocknie się i wypowie *sve veto!*

Wystąpienie p. Korpaczewskiego jest właśnie jednym ze znaków tego zwrotu, i oto dlaczego przywiązujemy do niego wagę ogólniejszą. Dziś, przeciw despotyzmowi zarządu jednej z instytucyj, przeciw prywatności i koteryjności, przeciw wreszcie pomiataniu prawami *s t o w a r z y s z o n e g o*, wystąpił jeden pan Korpaczewski, jutro wystąpi dziesięciu, pojutrze stu, dwustu — wystąpią wreszcie wszyscy, którzy

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg.)

Treść testamentu była następująca :

„Podpisany Konstanty Czarkowski, przytomny na umyśle i zdrów jeszcze na ciele, zostawia cały swój majątek, tak ruchomy jak nieruchomy, niemniej wszystkie należności, jakie ma u innych osób, swoim najlepszym i najwierniejszym przyjaciółom, którzy od dłuższego czasu składali mu dowody życzliwości bezinteresownej, mianowicie: doktorowi praw, Mateuszowi Czudkowi i doktorowi medycyny, Salomonowi Ragner. Obadwa ci panowie mają się majątkiem w równych częściach podzielić. Podpisany ma wprawdzie dalekiego kuzyna, pana Juliana Rossowskiego, ale temu nie zapisuje nic z dwóch przyczyn: najpierw młody ten człowiek nie powodował się jego wolą i szkół nie ukończył; następnie nie był swemu wujowi tak życzliwym i wdzięcznym, jakby być powinien za tyle odebranych dobrodziejstw. Dowody nieprzychylności swego siostrzeńca,

instytucyj dają być, a ich zarządowi wygodne pozycje i mandat, ale nie mandat — despotyzmu.

Czy zaś wtedy pomogą co zarządowi wyjaśnienia panów prezesów instytucyj, w rodzaju „wyjaśnienia“, jakie nam udzielił p. Temler? Wątpimy bardzo; ale że zarządy muszą wówczas zrozumieć właściwą swoją rolę — w to wierzymy stanowczo.

Listy z Galicyi.

XVIII.

Dnia 8 Października.

Bodaj to być młodym, energicznym i stanowczym, Takiego wszyscy pragną sobie pozyskać, bo go się boją. Do naszej prowincyi, nie raz już i nie dwa, przyjeżdżali rozmaici ministrowie z Wiednia, p. p. Dunajewski i Ziemiałkowski odwiedzają nas po kilka razy każdego roku, niedawno temu był tu także minister handlu i rolnictwa, ale wszyscy oni nie robili u nas nigdy wielkiego wrażenia, i dopiero pierwszy minister oświaty, dr. Gautsch, może o sobie powiedzieć, że u jego nóg legła cała Galicya. I niech nikt nie sądzi że przesadzam. Bynajmniej, mówię świętą prawdę, i oto jak się ona w rzeczywistości przedstawia.

Przed kilkoma dniami, najmłodszy między austriackimi ministrami, bo ledwie 36 lat liczący, dr. Gautsch objeżdżał naszą prowincję i zwiedzał nasze zakłady naukowe. Poczawszy od Krakowa, a skończywszy na Czerniowcach, wszędzie na stacyach kolejowych oczekiwali go różni dostojnicy, burmistrzowie miast z radnymi, marszałkowie szlachty i t. p.

Jak dotąd, prócz cesarza i następcy tronu, w Galicyi jeszcze nikogo tak nie przyjmowano. I podczas gdy pan minister austriacki jedzie z jednego miasta do drugiego, dzienniki tak lwowskie jak krakowskie, podają telegraficzne relacje o jego podróży, z kim raczył mówić, a komu rękę podać, gdzie nocował, a gdzie jadł obiad, jakie cygara palił i kiedy kichnął... Galicyo, co to wszystko znaczy, kto cię nastroił tak wysoko i co z tego wyniknie? Alboż ona wie... Mnie się zdaje że dzieje się to mimowolnie, że pocziwa nasza prowincya z czynów swoich sprawy sobie nie zdaje. Bo gdyby się nad swoim postępowaniem spokojnie zastanowiła, to możeby nareszcie powiedziała, że ministrowi, który dla nas jeszcze nic nie uczynił, nie należy zbyt kadzić, gdyż to gotowe wyjść na naszą szkodę. Skoro tak mnie czczą i honorują, choć im nic nie dałem — pomyśli jego ekscelencya — więc widać że im dobrze, i niczego nie potrzebują. Przepraszam, pan minister już nam coś dał,

podpisany zebrał już po jego wyjeździe do Wiednia. W końcu testator pomuy zasług starego Wojciecha, zapisywał mu 500 guldenów“. Następują podpis i data.

Spisywanie testamentu, odbyło się w formie najlepszej. Dr. Czudek zapytywał umierającego, a dr. Ragner podtrzymując poduszkę, na której spoczywała jego głowa, na znak potwierdzenia szybko ją opuszczał, skutkiem czego umierający głową potrząsał. Adwokat uważając to za potwierdzenie, zapisywał co chciał, i tym sposobem w ciągu dwudziestu minut testament był skończony. Wtedy lekarz wziął pióro, przemocą wetknął je w zimne i bezwładne palce p. Czarkowskiego, podpisał go dosyć czytelnie, naśladując ile możności charakter jego ręki — wreszcie on sam i signor Villani umieścili pod testamentem, jako świadkowie, swoje godne nazwiska. Dr. Czudek podpisał się jako ten, który za dyktowaniem testatora spisał jego wolę.

Wszystko było już gotowe, gdy Wojciech z lekarstwem, zmęczony, zaspany, wszedł do pokoju. Doktor zatrzymał go w połowie drogi mówiąc:

— Właśnie pan wasz zrobił testament, a teraz będzie spał chwilę, nie trzeba mu zatem przeszkadzać. Dajcie tu lekarstwo!

Wojciech podał mu je machinalnie, a że, jak wiadomo, wzrok miał bardzo osłabiony, w pokoju zaś było prawie całkiem ciemno, więc nie dojrzał adwokata, który na palcach wyniósł się do sieni. Za nim pospieszył signor Villani.

gdyż zwiedzając wystawę obrazów w Sukiennicach, kupił z pieniędzy rządowych obraz Lipińskiego za 2,000 guldenów, i darował go Muzeum Narodowemu. Bóg zapłać i za to. W każdym razie lepszy rydz jak nic.

Galicja nie wie, dla czego p. Gautschowi nadskakuje w sposób tak ostentacyjny, ale zato pan Gautsch wie doskonale, czemu właśnie teraz do nas przyjechał i stara się o nasze względy. Kilka miesięcy temu rozdrażnił on Czechów do najwyższego stopnia, gdyż niektóre ich gimnazya zamknął, a świeżo ufundowanych nie pozwolił otworzyć. Ponieważ Czesi w zmniejszeniu swoich zakładów naukowych widzą klęskę dla swojej narodowości, która ciężką walkę z Niemcami stacza, przeto zaczęli zwoływać mityngi ludowe, na których panu ministrowi grożą wszystkim najgorszym. Lecz że mityngi, choćby najludniejsze i najkrzykliwsze, nie są żadną władzą i panu Gautschowi nie mogą nic złego zrobić, przeto postanowili oni przenieść walkę do wiedeńskiego parlamentu, aby znienawidzonego ministra, bądź co bądź, zmusić do dymisji. Czesi, jako partya parlamentarna, są silni, lecz nie stanowią oni większości, gdyż tę tworzą dopiero z Polakami, którzy, jak dotąd, w sprawach ważniejszych zawsze ich popierali. Czesi liczą więc na nas i teraz, a p. Gautsch bojąc się byśmy przeciw niemu się nie zwrócili, postanowił nas sobie zjednać, i dla tego puścił się w podróż inspekcyjną po Galicji. Hier liegt der Hund begraben, mówi przysłowie niemieckie. Wiemy więc czego chce pan minister, lecz dotąd nie wiemy, czemu tak nisko Galicja mu się kłania. Czyżby jej galanterya miała oznaczać, że Koło polskie postanowiło, w sprawie ministeryjalnej, Czechów „w trąbę puścić“ i trzymać się p. Gautscha, a ten za to przyrzecze nam przyrzec różne piękne rzeczy, których potem pewnie nie dotrzyna? Wszystko to być może, ponieważ w ściślejszej mojej ojczyźnie dzieją się rzeczy, o których filozofom się nie śniło. Czekajmy więc cierpliwie końca, a może zagadka się wyjaśni.

Pan minister zwiedzając nasze gimnazya, przekonał się zapewne teraz naocznie, do jakiego stopnia jest Galicja krajem upośledzonym. Gdzie miasta powystawiały dla szkół własne gmachy, tam są one wygodne i higieniczne, ale gdzie gimnazya są rządowe, tam mieszczą się one w zabudowaniach ciemnych, wilgotnych, najczęściej w starych klasztorach. W Przemyślu np. gmach gimnazyalny jest tak porządny, że przez pułap do sal woda ciecze, skutkiem czego gabinet fizykalny został do połowy zniszczony. Niech patrzy i sam osądzi, czy godzi się tak lekceważyć prowincję sześciomilionową, która państwu daje niemało żołnierzy i pieniędzy.

Mieszkańcy tak Lwowa jak w ogóle Galicji wschodniej starają się oddawna, by uniwersytet Lwowski był uzupełniony fakultetem medycznym. Za jego zaprowadzeniem przemawia wiele rzeczy, głównie to, że fakultet medyczny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, jedyny na całą Galicję,

Adwokat był już na ulicy, gdy sobie przypomniał, że nie wziął nic z pieniędzy, które umierający musiał mieć pod poduszką, to też gdy pomyślał, że cała gotówka może przejść w posiadanie medyka, zatrząsł się i zaklął tak gwałtownie, że aż idący za nim signor Villani z przestachu o krok się cofnął.

Dr. Ragner siedział przy umierającym jeszcze dwie godziny; odchodząc polecił Wojciechowi, by zachował się jak najciszej, chory bowiem będzie prawdopodobnie spał długo, poczem niezawodnie mu się polepszy. Stary sługa, stosując się do poleceń lekarza, usiadł nieopodal łóżka i po wyjściu Ragnera słuch wyteżył. Wprawdzie zdawało mu się, że pan jego oddychał niezwykajnie, niby charczał i, leżąc ciągle w jednej postawie, ani się poruszył, ale ponieważ nie przypuszczał, by to już były chwile ostatnie, więc siedział dalej na tem samym miejscu, dopóki nad ranem sen mu nie zamknął powiek znużonych.

Wojciech usnął — a pan jego wydał tymczasem tchnienie ostatnie.

XLIII.

Pana Czarkowskiego, za życia, prawie nikt nie znał i nikt się nim nie zajmował; zato gdy umarł, nazwisko jego było na wszystkich ustach, bo całe miasto jedynie o nim mówiło. Lecz nie dlatego zajmowano się jego osobą, że był

mimo przepełnienia, nie może wydać tylu medyków ilu ich nasza prowincya potrzebuje. Rząd, ilekroć o tem mu mówiono, nie dał nigdy stanowczego przyrzeczenia, przyczem zasłaniał się zawsze brakiem pieniędzy. Teraz ni ztąd ni zowąd, za rządów miłościwie nam panującego ministra Gautscha, zostały nagle utworzone dwie medyczne katedry w uniwersytecie Lwowskim, a między niemi jedna specjalnie anatomii poświęcona. Co to znaczy? — pytają Lwowianie. Jestże to zapowiedź całego fakultetu medycznego, czy też tylko rozmyślnie rzucono nam te dwie katedry, byśmy więcej nie żądali? Zagadka nie została dotąd rozwiązana i prawdopodobnie nierychło to nastąpi. O ile mi się jednak zdaje, założenie całego fakultetu medycznego we Lwowie, jest już tylko kwestyą czasu.

Zdrowotne stosunki po wsiach są u nas okropne, ludzie chorują i umierają nie widząc lekarzy; w każdej osadzie ani dziesiąta część dzieci nie zostaje przy życiu; epidemie wiosenne i jesienne pochłaniają liczne ofiary. Wprawdzie po tych miasteczkach, w których są starostwa, znajdują się już stali rządowi lekarze, tak zwani fizycy, lecz ci, mając pięćdziesiąt, niekiedy i szesćdziesiąt gmin pod sobą, mogą je objeżdżać ledwie wtedy gdy ospę szczepią, lub jeżeli w powiecie wybuchnie gdzie groźna epidemia. Rząd chcąc złemu zapobiedz, usilnie teraz do tego dąży, by Sejm galicyjski zaprowadził na wzór francuzki lekarzy wiejskich, z których każdy miałby pod sobą, mniej więcej, 10 lub 12 gmin. Lekarz wiejski otrzymywałby pensję z funduszów krajowych, a resztę dawałby mu honorarya.

Ważna ta sprawa była już poruszana w Sejmie przed laty trzynastu, ale wtedy poszła do kosza, głównie dla tego, że biedna nasza autonomia, robiąca, dla braku gotówki, wciąż bokami, nie była w stanie wziąć na swe barki nowego i tak wielkiego ciężaru. Od tego czasu położenie nasze finansowe nie zmieniło się wcale na lepsze. Mimo to, jak się dowiaduję, rząd chce ponownie tę sprawę poruszyć. Być może, że tym razem zechce on się przyczynić stałą subwencyą do utrzymania takich lekarzy, a wtedy i Sejm inaczej będzie mówił o tej rzeczy.

W każdym razie można się spodziewać, że skoro raz zajęto się tą ważną sprawą, nie zejdzie ona więcej z porządku dziennego, i prędzej lub później będzie urzeczywistniona. A gdy to nastąpi, czy fakultet medyczny uniwersytetu Jagiellońskiego będzie wstanie podwoić produkcję i wydać tylu lekarzy ilu ich Galicja będzie wtedy potrzebowała, skoro dziś nie wydaje ich zanadto? Otóż sądzę, że gdy raz zapadnie w Sejmie naszym uchwała zaprowadzająca instytucję wiejskich lekarzy, równocześnie rząd będzie zmuszony zająć się utworzeniem fakultetu medycznego w uniwersytecie lwowskim. Z upragnieniem tedy wyglądamy urzeczywistnienia tak jednej, jak drugiej sprawy.

Lwowska Izba handlowa, wybrała na swego reprezentanta w wiedeńskiej Radzie państwa, krawca lwowskiego, p. Niemczynowskiego, umiejącego ledwie czytać i pisać, ale

oryginałem, że lubił klasyków i obrazy; o te szczegóły ogół nie pytał; ludzi przedewszystkiem to intrygowało, że stary dziwak i kutwa, jak go znajomi nazywali, zapisał swój cały, wielki majątek Czudkowi i Ragnerowi, dwom w mieście znanym osobistościom. Ten i ów, słysząc to, wprawdzie głową kręcił, większość jednak uznała czyn za spełniony i o prawomocności testamentu nie wątpiła.

Doktor Czudek bardzo się zmartwił, gdy rejent, spisawszy majątek nieboszczyka, przeliczył gotówkę pod poduszką znaną; zamiast spodziewanych stu tysięcy, było ledwie czterdzieści. Adwokat łypnął kilka razy na lekarza, który zachowywał się spokojnie, jak człowiek nie poczuwający się do żadnej winy; Czudek mruknął coś do siebie, czego z obecnych nikt nie dosłyszał. Ragner jednak musiał domyślić się, co przyjaciela trapiło, bo, gdy w pół godziny później wyszedł z nim na ulicę, rzekł, biorąc go pod ramię:

— Mniej pieniędzy, niżśmy się spodziewali, znacznie mniej! Tak to zwykle bywa, że bogatych robią za życia jeszcze bogatszymi, niż są w rzeczywistości. Ja się tem nie martwię, bom i z tego zadowolony, co Bóg dał, ale ponieważ widziałem, że ciebie to obeszło, więc, jako plaster na ranę twego serca, odstąpię ci bez pretensyj cały skrypt Rossowskiego.

— Bardzoś wspaniałomyślny! — odrzekł Czudek.

mającego za to tę zaletę, że nie trzyma z żydami, bo nawet odważył się stanąć na czele Stowarzyszenia kupców chrześcijańskich. Czy Koło polskie zyska co na tej akwizycji, wątpimy, p. Niemczynowski bowiem może być dobrym agitatorom lwowskim, ale nie był i nigdy nie będzie osobistością polityczną — z tem wszystkiem jednak wybór jego należy uważać za rodzaj protestu przeciwko tym kandydatom, którzy ścisły sojuz z żydami w sprawach handlowych i przemysłowych, stawali na czele swego programu.

Ślota trwająca u nas od kilku tygodni przeszkadza wciąż robotom w polu. Dotąd prawie jeszcze nigdzie zasiewów nie ukończono, potrawy nie zebrane, w wielu miejscowościach nawet ich dotąd kosić nie zaczęto, gdzie nigdzie, widać grykę na pokosach i owies w kopach na polu stojący. Jeżeli się rychło nie wypogodzi, rok przyszły może być dla nas bardzo smutny.

Rolarz.

FRANCYA ZŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumoni.

Tom II.

Cremieux i związek żydowski powszechny.
(Alliance israelite universelle).

(Dalszy ciąg.)

„Przypominam sobie w tej chwili, — mówił jeden z ich mówców na owym zgromadzeniu ogólnem, w dniu 3 Lutego 1870 r., na którym tak gorąco wychwalano Niemcy — rozmowę, jaką miałem pewnego razu z jednym ze współwyznawców, który w wilią tego dnia był na posiedzeniu „Związku“. Zapytałem się go o zdanie o naszym „Związku“, a on mi odpowiedział:

„Będąc wczoraj na waszem posiedzeniu, przypomniałem sobie „Żyda wiecznego tułacza“ Eugeniusza Sue, a mianowicie ową scenę, w której Rodin, otworzywszy swoją korespondencję, znajduje w niej listy ze wszystkich czterech stron świata!

„Porównanie między temi dwoma stowarzyszeniami jest trafne o ile się odnosi do rozległości naszych stosunków ze światem, ale na tem się zatrzymuje. Ah! cóż za różnica między temi dwoma związkami; jeden, mówią, posiada środki do ujarznienia, drugi do udarowania swobodą; jeden wysiła się żeby zdławić wolność, drugi, aby nią obdarzać; jeden chce zgasić światło; drugi je zapalić; jeden rozciąga zimno śmierci, drugi ciepło życia. (Oklaski)“.

Najzabawniejsze to, że ci żydzi, którzy oświadczają głośno że nie są ani francuzami, ani anglikami, ani niemca-

Odtąd podejrzenie jego zaczęło zmieniać się w pewnością.

— Powiem ci otwarcie — odparł lekarz — że nie jest to zbyt wspaniałomyślność, dla mnie skrypt ten nie przedstawia wielkiej wartości, o ile bowiem wiem, Rossowski znajduje się w złych stosunkach, zwłaszcza, odkąd go zarwał ten agent wiedeński, prócz tego, nie chciałbym pozywać kuzyna nieboszczyka... dla mnie, jako lekarza, to niewypada... gdy przeciwnie ty, będąc sprawiedliwym własności stróżem, a prawa obrońcą...

— Dobrze już, dobrze! — przerwał Czudek — Dziękuję ci za ten prezent i zobaczysz, że potrafię z niego skorzystać.

— Nie wątpię! — medyk dorzucił.

Tak się rozstali.

Sąd nie wydał zaraz spadkobiercom majątku, ale ponieważ tak Czudek jak Ragner mieli rozległe stosunki, a gdy z drugiej strony przeciw testamentowi nikt z zarzutami nie wystąpił, więc i sąd nie miał powodu zwlekać długo tej sprawy. Wkrótce też szczęśliwych; zupełnie uszczęśliwił, oddając im to, co według prawa słusznie im się należało.

O śmierci pana Czarkowskiego, Wandzia i jej ojciec dowiedzieli się dopiero nazajutrz. Wojciech tak głowę stracił, zobaczywszy, że jego pan nie żyje, a potem z taką

mi, przyganiają bezustannie katolikom w swoich dziennikach, że uznają zwierzchność Papieża...

Pewien człowiek rozumny utrzymywał, że nie potrzebuje czytać żadnych innych dzienników oprócz „Gazety węgierskiej“. Co do mnie, poprzestałbym na „Biuletynie Związku żydowskiego“, a byłbym człowiekiem najdokładniej poinformowanym o wszystkim, co się dzieje na całym świecie.

„Związek powszechny“ traktuje za pan brat mocarstwa. Wysłał noty, protestacye, ultimata, które przyjmowane bywają z przykładną potulnością. Wykazaliśmy naszym czytelnikom, z okazji kwestyi rumuńskiej, politykę zagraniczną, jaką Cremieux narzucił rządowi republikańskiemu. Pod dziwnym zaiste pozorem, że Francya, za czasów kiedy miała jeszcze zdrowe zmysły i znaczyła coś w świecie, była jedynym w Europie narodem, który żydów wykorzystał zupełnie z łona swojego, Cremieux utrzymywał, że my jesteśmy ojcami, obrońcami, urodzonymi opiekunami wszystkich izraelitów na całym świecie.

Skończyło się na tem, że zaprzestano przeczyć temu twierdzeniu, i jak tylko żyd uwięziony zostanie za kradzież w którymś zakątku naszego planety, nasi ambasadorowie, nasi konsulowie, kanclerze, dragomani kręcą się, wiercą, latają, redagują memoriały, zanoszą protestacye. Po stopniu gorliwości rozwiniętej w takich razach poznać można zaraz, którzy członkowie ciała dyplomatycznego doczekają się szybkich awansów. Mellinet, minister francuzki w Rumunii, później w Persyi, rozpada się w zabiegach w Teheranie; Tissot na głowie staje w Maroko, aby zasłużyć sobie na wysłanie najprzód do Konstantynopola a potem do Anglii, ale Roustan w Tunisie przewyższa ich wszystkich.

Dziesięć lat temu przepowiedziałem wojnę tunetańską. Dość było wiedzieć, że żydzi nie czuli się szczęśliwymi w regencji, aby przewidzieć, że nasi biedni żołnierze pójdą tam lada dzień umierać dla polepszenia ich losu. Proszę sobie tylko wyobrazić, że żyd robotnik w srebrnych galonach brał w Tonkinie kije w pięty, za to że zastawił kilka powierzonych mu przedmiotów! Czyż można było znieść coś podobnego? Kilku żydów wypędzono jakby prostych śmiertelników; „Związek“ począł wrzeszczeć na Europę aby powstała i ukarała taką zbrodnię.

„Okropne wieści odbieramy z za morza! Fanatyzm muzułmański jeszcze raz rozkiełznał się przeciw naszym braciom w regencji tunetańskiej i stali się ofiarą strasznego prześladowania. Przecierpiawszy wszystkie wybryki niewypowiedzianego barbarzyństwa, ujrzeni się, w rozmaitych punktach regencji odartymi z mienia, wypędzonymi z własnych mieszkań i zmuszonymi szukać schronienia w miastach: Trypolisie i Tunisie. Nieszczęście ich jest straszliwe, cała ludność jest w rozpacz i nędzy, wzywając pomocy swoich współwyznawców“.

Niektórzy z agentów francuzkich tak daleko posuwają

wytrwałością siedział przy jego martwych zwłokach, nie chcąc ich na krok odstąpić, że mu na myśl nie przyszedł p. Wybicki; ten zaś w tym dniu, jakby umyślnie, z domu nie wychodził. Dopiero nazajutrz wyszedłszy z córką do miasta, dowiedział się o śmierci z kartek pogrzebowych, a o testamencie nieboszczyka, od któregoś ze znajomych. Nie chcąc dać temu wiary, pobiegł pod cytadelę. Tu otrzymał potwierdzenie. P. Czarkowski w rzeczy samej nie żył, jego zaś siostrzeniec był wydziedziczony. Zmówiwszy pacierz przy zwłokach zmarłego, wrócił do domu smutny, a gdy Storch przyszedł, usiedli w trójkę i radzić zaczęli. Wkrótce stało na tem, że do Juliana nie będą telegrafowali, i wystarczy jeżeli mu listownie o śmierci wuja doniosą. Człowiek jak on uczuciowy, porzuciłby wszystkie interesa i pędził na pogrzeb, na który pewnieby nie zdążył, a sam nie małoby na tem stracił. Prócz tego w liście, który miał napisać p. Wybicki, z odpowiednim Wandzi dopiskiem, można mu było i więcej donieść i łatwiej go uspokoić.

Wandzię bardzo to oburzyło, że p. Czarkowski tak niesprawiedliwie postąpił sobie z jedynym krewnym, jakiego miał na ziemi; szczególnie bolała ją w testamencie ustęp, mówiący o niewdzięczności Juliana. Wszak ona była tak pewną, że to potwarz! Z drugiej natomiast strony nie robiła sobie nic z tego, że jej narzeczony nie otrzymał majątku, który mu się tak słusznie należał. Kto wie nawet, czy się tem

służalność względem żydów, obdzierając na ich korzyść rządy przy których są uwierzytelnieni, że wprawiają w podziwienie nawet żydowskie dzienniki. W „Archiwach“ z d. 13 grudnia 1883 r. czytamy:

„W skutek obelg, jakich ludność dopuściła się względem jednego z podróźnych agentów francuzkich w Maroko, nasz poseł przy dworze marokańskim domagał się i uzyskał indemnizację pieniężną w ilości 5000 fr. Interesującym jest to, że z sumy tej przyznano 500 fr. żydowskiej szkole chłopców i tyleż szkole dziewcząt. Ciekawa rzecz, z jakiego powodu nasze wyznanie zostało obdarzone w ten sposób, nie będąc zupełnie wmięszane w tę sprawę i nieprzyzwyczajone do podobnych względów w Maroko!“

Powtarzam, że warto czytać „Biuletyn Związku żydowskiego“, o którego istnieniu nawet nie wiedzą częstokroć nasi wielcy politycy. Mają one nawet stronę rozczulającą. Należę do tych, którzy szanują wszystkie wyznania, i uważam wiarę, bez względu na to gdzie ona mieszka, za jeden ze skarbów najcenniejszych; zajmują mnie te datki małe czy wielkie, ze względu na myśl, która je natchnęła. te zapisy rent, obligacji itp. Jedni dają w imię pamięci ojca, matki, syna; drudzy z okazji obrzezań swoich dzieci; niejaki Geret posyła pięć franków z powodu swej nominacji na urzędnika w departamencie oświaty publicznej.

Ofiary żydów bogatych dla szkół na Wschodzie, bywają niekiedy wspaniałe. Bezwątpienia są to pieniądze nam zabrane, ale, jeszcze raz powtarzam, ich postępów nie można sądzić według naszych pojęć, które nie są ich pojęciami. U nich zrucinować *goja* jest czynem pełnym zasługi. Podobni do rycerzy chrześcijańskich, którzy bogacili kościoły łupami zdobytymi na saracenach, oni bogacą swoje szkoły tem, co zdobyli na nas.

Z korzyści zyskanych na bonach tureckich Maurycy Hirsch ofiarował milion na młodzież żydowską na Wschodzie. Z zysków na hondurasach Bischoffsheim założył szkołę dla dziewcząt, która jest zarazem szkołą normalną i zawodową i która nosi nazwę „Instytutu Bischoffsheima“.

Do instytutu przyjmowane są, w drodze konkursu, dziewczęta od lat 12 do 15. Otrzymują stół, mieszkanie, ubranie i naukę za darmo. Sposobią się na szwaczki, kwiaciarki, krawcowe, buchalterki i nauczycielki. Pobyt w szkole trwa trzy lata; pensyonarek jest pięćdziesiąt.

Zakład otwarty w r. 1872 wydał już kilkadziesiąt wychowanków. Te które ukończą jednocześnie naukę teoretyczną i praktykę, bywają umieszczane staraniem dam opiekunek, które są obowiązane czuwać nad nimi, po wielkich pracowniach i magazynach paryzkich. Te które obrały zawód nauczycielski, opuszczają szkołę po odbytych w ratuszu paryzkim egzaminie. Te wszystkie rekrutują się po części w samym Paryżu, po części dostarcza ich Maroko i Wschód.

„Związek“ ma na Wschodzie, w Syrii, w Maroko,

w głębi duszy nie ucieszyła, chociaż myśli swoich przed nikim nie zdradziła.

— Jam biedna i on biedny — mówiła sobie w duchu — będziemy więc wspólnie pracowali i wspierali się wzajemnie. Kto wie nawet, czy to nie lepiej, że od ciężkiej pracy zaczniemy.

P. Wybicki inaczej się zapatrywał na tę sprawę. Zaznawszy sam biedy, i wiedziąc, jaką pieniądze ma wartość, wolałby, aby przyszy zięć jego był człowiekiem zamoznym i nie potrzebował nigdy przechodzić takich jak on kolei; bardziej jednak to go gniewało, że majątek, który Julianowi się należał, dostał się takiemu łotrowi jak Czudek i osobie tak wątpliwej wartości jak Ragner; w końcu nie podobała mu się także hipokryzja nieboszczyka.

— Przyjął nas tak serdecznie! — myślał w duszy — ze łzami w oczach błogosławił Julianowi i Wandzi, a jak przyszło testament spisywać, figę im zostawił. To nie dziwak — to dziwoląg!

Storch milczał, usta przygryzał i głowę bardzo męczył, co poznać było po zmarszczkach na jego czole. W końcu przemówił:

— Co do mnie, nie wątpię, że jest tu w grze jakaś intryga szatańska. Przecie wiem, jak nieboszczyk kochał Juliana, a to, że nie zdał matury, przebaczył mu od czasów niepamiętnych. Widocznie usposobili go inaczej dopiero po wyjeździe Juliana. Zapewne musieli na niego rzucić jakąś potwarz ohydną... Kto wie, czy nie podrobili nawet jakich

w Tunetanii, w Mezopotamii, w Jeruzolimie trzydzieści sześć szkół, mieszczących w sobie przeszło sześć tysięcy uczniów, między którymi pięć tysięcy czterechset chłopców i siedmset dziewcząt.

Na posiedzeniach to „Związku“ trzeba się przypatrzeć Cremieux'owi; tutaj jest on familiarnym pocziwiną, wesółym patryarchą; widok tego starca, gawędzącego ze swoimi, jest gotowym rodzajowym obrazkiem. W r. 1878 mówiono o żydach w Rosyi. „Niechno oni tylko zaczną“ odezwał się Cremieux, a potem zniżając głos dodał: „ja jestem o nich spokojny, dadzą oni sobie radę“. Ruchem ręki, mrugnięciem oka, porozumiały się te szczerwane lisy, zarówno ludzie polityczni, bankierzy, jak handlarze lorynetek: zrozumieli, że ich współwyznawcy, jeśli tylko zdobędą choć odrobinę praw, potrafią z czasem zrobić z Rosyą to, co zrobili z Francją i francuzami.

Cremieux w testamencie swoim chciał zostawić publiczny dowód swojej życzliwości dla „Związku“.

„Zapisuję — pisze on — summę 10.000 fr. „Związkowi żydowskiemu powszechnemu“. Ponieważ „Związek“ nie jest stowarzyszeniem prawnie sankcyonowanym, polecam dzieciom moim wyliczyć w trzy miesiące po moim zgonie na ręce prezesa „Związku żydowskiego powszechnego“ tę summę dziesięciu tysięcy franków, które mają być użyte według decyzji, jaką powoźmie Komitet centralny“.

Katolicy nie potępiali bynajmniej tego rozporządzenia. Czyż jest świętsze prawo od prawa dysponowania częścią swego majątku na rzecz sprawy, której się służyło przez całe życie, przeżycia niejako siebie samego stojąc wiernie przy idei, która nam była drogą, brać udział z poza grobu w trudach i zajęciach, które były trudami i zajęciami naszymi.

Przypuśćmy, że ja zapisuję dziesięć tysięcy franków benedyktynom, u których przepędziłem rozkoszny miesiąc w mojej młodości, których prace literackie i historyczne zbliżają się do moich. Tymczasem Lockroy albo Kamil Dreyfuss wychodzi na trybunę: „Ten człowiek — woła — wie o tem, że to zgromadzenie nie jest uprawnione, a mimo tego zapisuje mu legat. Czyż można sobie wyobrazić głębszą pogardę dla praw? Czy tak nakazuje Syllabus? Nie dopuszczajcie tego, żeby francuz mógł z bogacąć zakon, w którym są cudzoziemcy!“

Dla tych ludzi, i dla większości republikańskiej, wijszącej u kieszeni żydowskiej, członkowie Komitetu centralnego, mieszkający w Berlinie, w Monachium, w Hamburgu nie są cudzoziemcami, a gdyby ich tak nacisnąć trochę, wyznaliby w końcu, że tylko sami żydzi są u siebie we Francyi....

(Dalszy ciąg nastąpi)

listów, dokumentów, aby chorego łatwiej otumanic... Najbardziej to mnie na te myśli naprowadza, że nieboszczyk na końcu testamentu nadmienił, iż o nieprzychylności swego siostrzeńca, przekonał się dopiero po jego odjeździe do Wiednia. Tak jest tu musi być w grze jakaś intryga szatańska!

Wandzia i jej ojciec wysłuchawszy tych uwag, przychylił się do zdania Storch'a i odtąd usprawiedliwiali pana Czarkowskiego, ale zato tem większą niechęć czuli do jego spadkobierców.

Stary Wojciech był ciągle jakby bezprzytomny. Śmierć której się nie spodziewał, wydziedziczenie panicza, którego kochał i szanował, zapisanie majątku ludziom, których nienawidził, bo i doktor jakoś mu się niepodobał, wszystko to na staruszka tak podziało, że chodził jak odurzony, nie wiedząc co robić i mówić.

Gdy lekarz wręczył mu owe pięćset guldenów, które nieboszczyk mu zapisał, stary sługa poszedł do swej izdebki, a odłożywszy pieniądze, załamał ręce i jak dziecko się rozpłakał. I płakał długo, prawie godzinę, a chociaż myśli nie mógł zebrać, chociaż w uszach miał szum niezwykły, przecie był jeszcze o tyle przytomnym, że podnosząc się, rzekł do siebie:

— Nie, to być nie może! Oni chyba testament sfałszowali!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Idealy belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Głównym władcą tych ludzi jest żołądek. Skarżą się i p. Prusa ulubienicy zbyt często na głód, ale mają „pocziwe miny“ i dobre serca, łakną i p. Kościałkowskiej nie-szczęśliwcy, lecz są między nimi i tacy, którzy „czują głęboko“ i cierpią z powodów wykwinniejszych, p. Dygasinski zaś i p. Ostoja wcielają w swych powiastkach naj-ordynarniejsze instynkta, najbrutalniejszą formę walki o łybit. Jeść, jeść, jeść! wołają owi Jantkowie Mrozy, murarze, wyrobownicy, ulicznicy i t. d. Żaden z nich nie zna największej boleści człowieka... boleści duszy, zdeptanej świadomością niemocy rozumu doczesnego, żaden nie płacze „za miliony“, za naród swój chociażby...

I pesymizm, wypływający z niedostatków programów idealnych, nie sprawia przyjemności. Męczy on i odbiera energię, sztydząc z uroszczeń jednostki, lecz na jego dnie spoczywa, przypuszcmy, szlachetniejszy jakiś żal do „zarządu przyrody“, za jego bezwzględność, w jego skardze, w klątwie nawet drży tęsknota człowieka cywilizacji za życiem wymarzonem, piękniejszym.

A pesymizm materyalistyczny spycha ród ludzki ze stanowiska, które mu wywalczyły długie wieki bohaterskich wysiłków, począwszy od „Prometeusza“, z mitologii, a skończywszy na bohaterach naszych czasów.

Niesłychanie przykre wrażenie robi ta cała literatura „głodnych“ i podłych zwierząt. Wieje z niej atmosfera szpitalów dla chorób zakaźnych. „Bohaterowie“ jej albo wężą za żerem, nie przebierając w środkach, albo, nasycając się, przezuwają i myślą nad zaspokojeniem innych „potrzeb“. Przeczytawszy kilkadziesiąt powiastek naszych belletrystów i belletrystek pozytywnych, zdaje się, że się przebywało w zwierzyńcu lub w menażeryi.

Że ten materyalizm pseudo-artystyczny musi omijać warstwy wykształcone, nie dla samego tylko jedzenia pracujące, wynika z jego założenia.

Wala on się z rozkosza w wszelakim brudzie, głównie zaś w fizycznym. Zachodzi jednak pytanie, czy stany uboższe wytwarzają rzeczywiście największy procent pesymistów. Rzecz ma się podobno odwrotnie. Aby bowiem odczuć połowiczność obecnego porządku społecznego, aby pragnąć reform, zmian na lepsze, trzeba posiadać świadomość tych wadliwości w ustroju socyjalnym. Nie pożąda swobody i wygod, kto ich nie zna. Dość zajrzeć do karczmem, szynków i t. p. „salonów“ ludzi ubogich. Ileż tam nieopatrzniego wesela, ileż śmiechu i uciechy? Chłop ciągnie w sobotę wieczorem prosto, z pola, po całodziennej robocie na wódkę i muzykę, i tańczy do późnej nocy. To samo czyni wyrobnik, to samo znakomita większość owych ponurych malkontentów, których współcześni pozytywni pesymiści nadziewają własnymi rozpaczami i zwątpieniem swoim. Daleko więcej „niezadowolonych“ znajduje się na wyższych szczeblach drabiny towarzyskiej.

Jak wszyscy pesymiści, miesza się i p. Ostoja chętnie między lud. Lecz i jej wieśniak nie wzbudza wcale sympatii.

Z samych nieszczęśliwych i głupców składa się rodzina Michała Kozła („Szara dola“). Stary jest brudnym skąpcem, synowie jego żenią się dla krów i wieprzów, nienawidzą się i przesładują.

Ojciec umarł, dzieci zawiozły go na mogiłki i wracają do domu. Sędziwa wdowa płacze, więc Franek pociesza ją w sposób następujący:

— Dajcie pokój! Czy to wasze życie długie? Pójdziecie i wy prędko do niego!

Wielką krzywdę wyrządzają ludowi jego nowi opiekunowie. Zrobili z niego „bydło“, pozbawione wszelkich uczuć szlachetnych. Gdyby chłop wyglądał rzeczywiście tak, jak go chłopomani naszych czasów przedstawiają, niewartoby się nad nim litować. Takie podłe, brudne, zwierze nie powinno mieć swej woli, bo użyje jej tylko do złego.

P. Ostoja nie stworzyła dotąd ani jednej większej powieści. Twórczość jej rozprysnęła się na drobniaki, na szkice i obrazki, grzeszące, mimo swych szczupłych ram, brakiem jednolitej kompozycji wielkiem ubóstwem akcji. Dużo w tych „nowelach“ dobrej obserwacji dużo prawdziwych, z życia pochwyconych rysów, ale nie widać w nich ręki artysty, która umiała obfity materyał uporządkować i ułożyć go w całość harmonijną. Są to w znacznej części

strzępy, epizody, luźne, obok siebie zestawione spostrzeżenia... budulec, z którego można coś zrobić.

Bez porównania płodniejszą od p. Ostoi jest inna, młoda autorka, zapełniająca od lat kilku utworami swojemi fejetony pism warszawskich.

I p. Hajota, (bo o niej tu mówię z kolei), zabawia się czasami w pesymistkę, wylewając łzy nad niedolą sierot („Zaduszny dzień Adamka“), stróżów („Dzwonek“), nieuczynnych poetów („Tylko słowa“) i różnych, w miłości zawiedzionych, lub do życia niezdolnych niedołęgów. Kwili ona głównie na nutę miłosną, oskarża z przyjemnością „jego“, co zakrwawił serce „jej“.

W jej nowelach i powiastkach wracają *mutatis mutandis* dwa typy, mężczy i kobiecie, które zawierają w sobie całą dotychczasową filozofię autorki. Wystąpiły one najplastyczniej w „Zgubionej“.

„Ona“ (Bronisia) ma drobne rączka, wiele słodyczy w spojrzeniu ciemnych oczu, i wiele stanowczości w rysunku różowych ust, choć blada jest i wątła. „On“ (Maryan) patrzy ponuro z pod szerokiego, inteligentnego czoła, ciemnymi także oczami. Rysy jego twarzy regularne i pociągające, wydają się zmęczone i ostre. Między „nią“ a „nim“ stoi „miłość dziwna, smutna, wyjątkowa, będąca nie jak ogniwo, lecz jak mur, o który opierają się oboje, ale który spoić ich nie był w stanie“. Dlaczego? Bo on, choć kochał, nie miał odwagi stanąć obok niej do wspólnej pracy. Jest niby poetą, marzycielem, czemś nieokreślonym, zerem prostu.

— Cóż ze mnie zrobili ci, — mówi Maryan, gdy go Bronisia usiłuje natchnąć otuchą — którym jestem winien to życie, jakie przeklinam. Dali mi chore ciało, wydolikaczone nierozsądną czułością, bezmyślnem wychowaniem osłabili umysł, rozegzaltowali i tak wrażliwą wyobraźnię, a potem z pod klosza tej sztucznej egzystencji wypuścili na mróz rzeczywistości. I cóż dziwnego, że się roślina zwarzyła, że zamiast wydać kwiat i owoc, stała się takim bezużytecznym chwastem?

Bardzo to chyba dziwne, że młodzieniec, posiadający świadomość innego stanu, nie potrafi wyleczyć się z tej przykrew choroby, na którą tylko starość nie znajduje lekarstwa. A najdziwniejsza, że Bronisia kocha takiego magzaja, nad którym musi się litować. Brak charakteru nie wzbudza nigdy miłości w sercu dziewic „stanowczych“.

„On“ brzydzi się wszystkim, co pospolite i codzienne, pojmuje szczęście i poezję na tle włoskiego nieba i marmurowych krużganków, wśród woni kwiatów, szmeru fontan, — „ona“ zaś potrafiłaby je znaleźć w czterech ścianach uboższego pokoju, bo stara się, o ile może, roztaczać piękno na to, co samo przez się pięknem nie jest, czyli, że „ona“ posiada, mimo wykształcenia i duszy artystycznej, zmysł do życia praktycznego, a „on“... Niewiadomo właściwie, czego ten „on“ chce, kim jest coby go uszczęśliwiło.

P. Hajota słyszała coś o helenizmie, o weltszmercu hejnowskim o pozytywizmie w końcu, i ulepiła z tych wszystkich pierwiastków, zgadzających się z sobą, jak krytyk z lichym autorem, jakieś monstrum, jakieś straszidło papierowe.

Maryan posiada duszę poganina greka, po której chrystyanizm przeslizgnął się tylko, pozostawiając jako jedyny ślad swój nieznaną greckiej ziemskiej pogodzie zaświatową tęsknotę, a którą wiek nasz „piętnem nieuleczalnej choroby naznaczył“ — jest oprócz tego naturą za nadto negatywną i nerwowym idealistą...

Zdaje się, że to autorka „ślizga się“ zanadto po tem, co czyta, a czego nie rozumie, zadowolona, gdy pochwyciła jakiś błyskotliwy frazes, o który jej głównie idzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

CO NAJTRUDNIEJ?

Trudno być mężnym w niedoli,
Szczęściu się nie dać zaślepić,
Śmiać się, nie płakać, gdy — boli,
Owszem — boleścią się krzepić;

Trudno — gdy pokus maskary
Poczną i nucić i gruchać.
Zmylić ich niecie zamiary,
Zgubnych obietnic nie słuhać;

Trudno stać dzielnie, bez trwogi,
Pośród podstępów i zdrady;
Trudno, z obłądów pożogi,
Całe unosić — zasady;

Trudno żyć w biedzie, bo bieda
Kogo w swą ujmie obrozę,
Temu wypocząć już nie da,
Póki go całkiem nie zmoże;

Trud i bogatych nie mija —
Dziwne bo złota podboje:
Jednych, z niem, przesyt zabija,
Drugich, bez niego — głód, znoje;

Trudno być panem i sługą:
Wszystko — mniej, więcej — wszak trzodzi;
Lecz co największą zasługą?
Czem być najtrudniej wśród — ludzi?

Losu wpierv trzeba przejść chłostę,
Nim z doświadczeniem i z wiekiem,
Przyjdzie pojęcie to proste:
Najtrudniej jest — być człowiekiem!

Woj...ski.

NA POSTERUNKU.

Wspomnienie staroświeckiej Cnoty i oda na cześć nowego bożka — *Milion*. — Komu z nim dobrze. — Żywy przykład, czyli wybory nowego prezesa listów zastawnych w Towarzystwie Kredytowym Ziemi. — Przeróżająca emancypacja naszych pojęć etycznych. — Co moralne a co niemoralne — i czego nie wolno zasłużyć? — Wolnomyślny „Głos” o pogrzebie bezwyznaniowym. — Wzmianka w „Roli” i list z wyjaśnieniem. — Wymowa faktów. — Temat do nowej epopei. — Apostrofa do matek.

„Cnota skarb wieczny — cnota klejnot drogi!” — powta rzali sobie, na odbytem niedawno zebraniu koleżeńskim, b. uczniowie b. Liceum Warszawskiego. Starcy, z których najmłodszy liczył lat 67, zebrali się, po latach 55-ciu, w jedno szczupłe kółeczko i, wśród wspomnień młodości, wywołali hasło, które im świeciło niegdyś, niby gwiazda przewodnia.

„Cnota skarb wieczny — cnota klejnot drogi!” Ach, po co te wspomnienia? Czcigodni, ale widocznie „zacofani” starce! — alboż nie wiecie, że to hasło wasze jest już dzisiaj — przesądem?

„Cnota klejnot drogi!” — Cha, cha, toż to anachronizm zmurszały! — nieprawdaż duchu dzisiejszy, duchu nowych pragnień i nowych ideałów? Klejnot drogi, skarb wieczny! — ależ to wszystko starł, zdmuchnął i zasnęła nowa bożka —

M I L I O N !

Nie w dawnych przeto hasłach, nie w dawnej jakiejś *Cnocie*, którą kiedyś tam czczono i którą opiewali jacys wsteczni wieszczki, ale tu, w tym mocarzu nowego ducha czasu — siedlisko siły wszelkiej.

Milion! — spójrz tylko, o przeżyta *Cnoto*, jak ty mizernie obok niego wyglądasz! Przed nim padają na twarz i tarzają się w prochu wielcy, więksi, najwięksi, a tobie czy choć ktoś kiwnie głową?

Ja jestem — obwieszcza on nam słusznie, ot, choćby w pocziwym „Kuryerze Świątecznym”:

Ja jestem siłą sił!
Ja jestem nerwów nerw!
I ten co ze mnie drwił,
Co się wyśmiewał wpierv,
Dzisiaj ceni łaski me.

Ja jestem moc, — ja bank!
Ja koleją — ja żegluga,
I jak jest ziemia długa,
Mnie każdy niesie dank.
Bo ja się „Milion” zwę!
Ja mam nad wszystkim ster,
Ja mogę — skoro chce

Nieprawdaż jak wspaniale ten najwznioslejszy ideał pozytywny wygląda?

„Milion”! Szczęśliwy, kogo on opiekuńczym ramieniem swem otoczy. Śmiertelnik taki może być pewnym nietylko

łask, ale honorów i tytułów wszelkich; — może zostać, ot, bodajby — prezesem Komitetu właścicieli listów zastawnych.

Nie wierzycie? — a więc posłuchajcie. Lat temu, zdaje mi się, ośm, o tę samą godność dobijał się gwałtownie pewien żyd milioner, ale już wówczas wiał wsteczny prąd — antysemityzmu. Mimo więc iż wyboru tego życzyli sobie nawet pewni nasi „radcowie”, podniósł się pewien alarm opozycyjny. Jaki? — zawołano — jedyną mamy jeszcze instytucję, w której żydzi nie rządzą samowładnie, i do tej mamy ich teraz wpuścić? Nie — to być nie może! I chociaż nasi znani bankierzy pospędzali na salę wyborów rozmaitych kantorowiczów z rozmaitych biur swoich, choć było aż za wielu tych wyborców s ł o m i a n y c h, nie pomogło to przecież. Kandydat Izraela nie mógł dojść do godności prezesa, którym też, jak wiadomo, został pan F. Komierowski. Ale Izrael nie przebacza rychło doznanego zawodu. Gdy więc przyszło w tym roku znowu do wyborów, postanowiono, bądź co bądź, „wysadzić” pana Komierowskiego, a „wsadzić” kandydata innego, co zresztą, przy udziale i pomocy zawsze pewnych „radców”, nie przedstawiało zbyt wielkich trudności. W chwili tedy gdy już wiedzano, ile może być głosów za dotychczasowym prezesem, panem Komierowskim, i gdy czynność wyborcza miała być już wkrótce zamknięta, przed gmachem Towarzystwa robi się ruch niezwykły. Zajeżdżają dorożki — wysiadają k a n t o r o w i c z e obładowani „listami” i wysłani przez swoich pryncypałów z kilku „biur” bankierskich, — ciż sami k a n t o r o w i c z e głosują (a każdy miał po 8 głosów), i z urny wyborczej wychodzi p. Aleksandrowicz. „Kuryery” otrębują ten „szczęśliwy wybór”, winszując właścicielom listów zastawnych „nowego przewodnika” — no i wszystko w porządku.

Wszystko? — niekoniecznie. Przedewszystkiem, sądzicie może państwo że nie jestem w porządku ja, niżej podpisany? — że „nie daję spokoju” nawet „ludziom zasługi”? — że popelniam, słowem, i względem panów radców i względem protegowanego ich prezesa, jakieś brzydkie warcholstwo? Sądzicie może państwo że mnie gniewa „wysadzenie” p. Komierowskiego, lub gorszy mnie wybór prof. Aleksandrowicza? A, uchowaj Boże! — nic z tego wszystkiego. Jak pragnę widzieć „polaków moźeszowych” opuszczających, jak największą chmarą, ten niewdzięczny kraj, ani „wysadzani”, ani „wsadzani” na prezesów, jako osobistości, nie mnie w tej chwili nie obchodzą. Pana Komierowskiego nie mam przyjemności znać, a prof. Aleksandrowicza znam z jego prac publicznych.

— Czegóż przeto waś chcesz? — przecież to człowiek zasłużony, i jeżeli komu, to jemu należał się właśnie ten „chleb dobrze zapracowany”.

Prawda, wszystko to prawda, proszę państwa, zresztą fakt się stał. Tylko że ten właśnie fakt, jako taki, pobudza mnie do refleksyj, wyznaję, dość pesymistycznych. W tym fackie widzę tak gwałtowną, tak przerażającą gwałtowną emancypację naszych pojęć etycznych, że poprostu nie umiemy już rozróżniać całkiem, co jest moralne, a co — niemoralne. Moralną jest rzeczą czczyć zasługi innych i nagradzać je, ale niemoralną — czynić to przy pomocy jakiegokolwiek... intrygi. Nawet mi w myśli nie postoi ujmowanie zasług nowemu prezesowi, ale nie sądzę, iżby posługiwanie się środkami niejasnymi, iżby korzystanie z usług jakiejś kliki bankierskiej i z usług kantorowiczów, spędzanych, na akt tak poważny w gruncie, z nieswojami „listami” (szczęście że z niemi nie pouciekali!...), tym zasługom jego dodawać miało blasku. Owszem, im ktoś wyżej na świeczniku stoi, tem jaśniej świecić chyba winien wzorem głębokiego umiłowania dróg wyraźnych i prawych. Jeżeli komu, to takim właśnie ludziom — ludziom wznoszącym się ponad tłum przeciętnych, nauką i zasługą, nie wolno jest, z obrazą onej „przeżytej”, „staroświeckiej” *Cnoty*, uciekać się pod opiekuńcze skrzydła nowego bożka — *Milion*a. Tak mi się zdaje.

Zresztą, skończmy już z tą historią wyborów nowego prezesa, a przejdźmy do innej, równie, jeżeli nie więcej, ciekawej i interesującej.

Niedawno wolnomyślny „Głos” (Nr. 39) ogłosił światu z tryunfem (!) iż w Wilnie, w dniu 20 z. m., odbył się pogrzeb b e z w y z n a n i o w y niejakiego D-ra K., który, jak zapewnił ów organ, „w kwestjach społecznych wyznawał zasady r a d y k a l n e”, a praktykę lekarską poczytywał jedynie za „pikietę przednią” (!), za „środek — do innych celów”, to znaczy, do szerzenia wśród różnych kół społeczeństwa onego radykalizmu i ateuszowstwa. Nie g. D-rze K..., ale o tym jego pogrzebie, „Rola”, w N r z e 41, uczyniła wzmiankę, i, z powodu tej wzmianki, od jednego

z osobiście jej znanych prenumeratorów otrzymała list wyjaśniający, (zachowujemy go w oryginale), który tak brzmi dosłownie:

„Szanowny Redaktorze! Z powodu wzmianki w N-rze 41 „Roli“ o pogrzebie „cywilnym“ d-ra K... w Wilnie, pozwól mi złożyć Ci objaśnienie, za wiarygodność którego poręczyć może i musi każdy z będących świadkami niżej opisanego — zdarzenia.

„Kiedy dr. K., oddawna chory na suchoty, widział zbliżający się swój zgon, chciał pojednać się z Bogiem, i w tym celu prosił swej matki o wezwanie doń księdza. Matka wypełniła najchętniej prośbę umierającego syna, lecz natomiast małżonka jego, b. uczennica t. z. „wyższych kursów żeńskich“, postanowiła spełnieniu tejże prośby przeszkodzić. Gdy więc wkrótce przybył wezwany kapłan, z Najświętszym Sakramentem, wówczas pani K., wyszedłszy na jego spotkanie, nie pozwoliła mu nawet przystąpić do łoża umierającego — mówiąc krótko i jasno: „P a n t u zupełnie niepotrzebny, mój mąż i bez pomocy p a ń s k i e j potrafi umrzeć“. W parę godzin potem dr. K... już nie żył.

„Matka, chcąc uczcić pamięć syna, zwracała się do duchowieństwa z prośbą o asystencję religijną przy jego pogrzebie i ofiarowała nawet 400 rubli za jakikolwiek udział; duchowieństwo jednakże stanowczo odmówiło tej prośbie, z pobudek aż nadto słusznych i uzasadnionych.

„Racz, Szanowny Redaktorze przyjąć“ i t. d.

Tak brzmi list, do którego dorabianie komentarzy byłoby robotą niepotrzebną. Są rzeczy w których wymowa faktów jest silniejszą od wymowy słów. Być może zresztą, że na tle tych faktów, któreś z naszych „znanych“ pozytywistek, pani Konopnicka naprzykład, lub pani Orzeszkowa, napisze nową epopeję na cześć kobiety bohaterki poniewierającej ostatnią wolę męża i odmawiającej mu ostatniej, jedynej jakiej pragnął, pociechy! Być może, a tymczasem chciałbym rzecz tę zakończyć króciuteńką apostrofą do matek zachwycających się n o w o z y t n ą i wolną od przesądów uczonością (!) swych córek! Przypatrzcie się, jak one wyglądają mogą!...

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Postępy języków powszechnych. — Dwa nowe volapüeki, z których jeden „uproszczony“, a drugi „galicyjski“. — Prasa rewolwerowa wiedeńska. — Od czego cywilizacja?... — Katowskie przedstawienia w Anglii. — Sprawa Caffarela i Spółki. — General senator d'Andlau. — Mackay i Boulanger. — Żadna trójka: jeden Niemiec i dwóch Francuzów. — Jeszcze raz sprawa Caffarela. — Wilson. — Kwestya Boulanger'a. — Boulanger w kozie. — Co będzie potem? — Polemika prasy rosyjskiej z pruską „Gazetą Krzyżową“.

Gdybym był choć odrobinę zrozumiął albo miał choć trochę mniej dobre serce, mógłbym się bodaj upić z radości i dumy, że przepowiednie moje tak rychło się sprawdzają. Zaledwie w niniejszej kronice ogłosiłem *orbi et urbi* prorocstwo o zbliżającej się, dzięki v o l a p ü c k o m, epoce nowej wieży Babel czyli nowego pomieszczenia języków, aliści daje znać o sobie oficjalnie bo drukiem, już trzeci volapüek czyli t r z e c i j ę z y k p o w s z e c h n y, tym razem przybierając nazwę „volapüeku uproszczonego“. Maluczko a obaczmy, jak inni poczną to upraszczać to ukrzyżować ten nieszczęsny volapüek, i powstanie tyle powszechnych języków, że każdym z nich będzie mówił j e d e n tylko człowiek: jego autor. Że idzie ku temu, mam w ręku znów drukowany dowód. Agenci, jak się zdaje Niemcy, od emigracji, rozrzucają w Galicyi między lud kartki, redagowane w nowym volapüeku, a brzmiące dosłownie i doliternie (wyraz także kwalifikujący się do volapüeku) jak następuje: „Do uwagi dla wędrowniki. Ta karta musi każdy na Banhofie w Hamburgu w r ę t r z y m a c z albo na kapeluszcze przyklepić. Jeden, od moich ludzkie, który zawsze na Banhofie, gu da kwartiru pokaże i mu we wszystkim z radą i czynem służyć będzie. Na podróży do Hamburgu trzeba od obsich ludzich (faktori albo Agenti) Adress karti nie wzięść i ta karta na każdy sposób nie od r ę c e d a j ę c“.

Ten volapüek ma przynajmniej dwojaką zasługę: najprzód, że jak inne na francuzkim, włoskim, łacińskim i niemieckim, tak on prawdopodobnie na polskim został osnuty języku, niektóre bowiem wyrazy zdają się zbliżyć do naszych; powtóre, że go, da Bóg, nie zrozumieją ci, do których przemawiać jest przeznaczony.

Tymczasem, zanim języki powszechne uszczęśliwią ludzkość do tego stopnia, że już nikt nikogo nie będzie mógł

zrozumieć, prasa rewolwerowa korzysta z ostatnich chwil swoich jak może. W Wiedniu, do niejakiego pana Smith, w którego życiu prywatnem tkwiły pewne grzeszki, niebardzo z światłem dziennem licujące, przyszedł niejaki pan Ehrenfeld, dziennikarz, a przytem z przeproszeniem żydek sobie czerniowiecki, ostrzegając go, że prasa wiedeńska zamierza opublikować to, co on pragnął utrzymać w tajemnicy. Zarazem jednak zapewnił, że on przy swoich stosunkach może go uchronić od tego ciosu, naturalnie nie za darmo. Summa żądana wydała się Smithowi za wysoką, wdał się w targ, ale od 3,000 złr. nic już ubić nie mógł. Zrozpaczony, wolał w końcu narazić się na ewentualną kompromitację niż dać się tak obedrzeć i dać znać policji. Na jakiś czas przed umówioną godziną, agenci policyjni ukryli się w mieszkaniu Smitha, a gdy przyszedł zacy Ehrenfeld, z pomocnikiem swoim Steinerem, odebrał 3,000 złr. i napisał pokwitowanie z wymienieniem kwot dla każdego dziennika przeznaczonych, zjawili się policyjanci i paszkwół przytrzymali.

Tym razem kondotyerstwo dziennikarskie zrobiło fatalne fiasko — ale czyż to każdy napadnięty ma energię i odwagę Smitha?... Od czegoż ostatecznie jest ta cywilizacja? możnaby się zapytać, widząc ją tak bezradną wobec tak ohydnej narażonej na jej własnym ciele; ale w iluż to razach wypadłoby powtórzyć to samo pytanie!

Od czegoż jest ta cywilizacja, kiedy w jednym z najwyższych cywilizowanych krajów, w Anglii, dymisjonowany kat londyński, niejaki mr. Binns, robi majątek na przedstawieniach udanej egzekucji delinkwenta? Wiesza on naturalnie figurę woskową, ale z wszystkimi przyborami prawdziwej egzekucji. Jest formalne rusztowanie, sędziowie, urzędnicy w zwykłych mundurach, duchowny udzielający niby ostatniej pociechy skazańcowi, słowem nic nie brakuje aby wrażenie uczynić zupełnem. I przedstawienia te mają szalone powodzenie! Oddajże tu w tym najucywilizowańszym narodzie wniosek zniesienia kary śmierci pod powszechne głosowanie...

Od czegoż jest ta cywilizacja, skoro w tak znów cywilizowanym narodzie jak francuzki wyrastają takie okropności jak sprawa Caffarela, która im się bardziej wyświeca, tem straszniej ukazuje otchłanie brudu, upadku moralnego, korupcyi, ostatniej ohydy. Mniejsza o tę całą galeryę wmieszanych w to kobiet z dwuznacznego świata; mniejsza o tego pseudo-barona niemieckiego, berajtera z zamiłowania, a z profesyi bodaj nie szpiega, — ale przerażające sprawia wrażenie ta gangrena szerząca się wśród wyższych sfer wojskowych, w kołach, które z natury swojej winny być najwyższą reprezentacją honoru narodowego! Drugi generał, i to generał-senator, d'Andlau, zamieścił w jednym z dzienników list otwarty, protestujący przeciw podejrzeniu, jakoby on był w spółce z Caffarelem, zapewniający, że Caffarela od lat coś dwudziestu nie widział. I pan generał-senator mówił prawdę, a jednak mimo tego przepadł gdzieś, uciekł czy w łeb sobie strzelił, niewiadomo, — a dla czego? Bo pokazało się, że on wprawdzie nie miał stosunków z Caffarelem, ale miał na swoją rękę, własną, odrębną od tamtej agencji wyrabiania odznak legii honorowej... Czy Thibaudin i Boulanger umaczali w tej sprawie ręce, nie jest jeszcze rzeczą wyświeconą dostatecznie, — ale bardzo może być! Toć pokazuje się że Boulanger był narzędziem niecznych spekulacji zbożowych znanego milionera amerykańskiego Mackay'a, prowadzącego jeden z pierwszych domów w Paryżu. Mackay zakupiłszy ogromne ilości pszenicy, potrzebował, żeby ceny na rynku w Chicago poszły w górę — i w tym celu użył — naturalnie za hojną opłatą, — interwencji Boulanger'a. Wszystkie wojenne miny i mowy kandydata na dyktatora, miały mieć na celu jedynie usłużenie interesowi Mackay'a. Wprawdzie w końcu, gdy się Boulangerowi powinęła noga i Mackay koziołka wywrócił, straciwszy podobno kilkanaście milionów, ale to rzeczy nie zmienia...

A owa sprawa oszustwa assekuracyjnego, w skutek której, na żądanie prokuratury wersalskiej, kilka osób uwięzionych zostało? Rzecz się tak miała: niejaki baron Scheurer, zabezpieczywszy życie swoje na 300,000 fr. na rzecz swojej kochanki, wpadł na myśl, że dobrze byłoby jemu samemu za życia jeszcze dostać do ręki ubezpieczoną sumę. W tym celu postanowił wystarać się o indywiduum, któreby zechciało umrzeć w jego imieniu. Usługi swoje w tej mierze ofiarował mu Dr. Castelneau, pisujący kroniki naukowe w „Intransigeant“ pod pseudonimem „Lux'a“, jeden z menerów radykalistycznych. Jakoż dostarczył umierającego prawie suchotnika, który się, za pewnym wynagrodzeniem, podjął umrzeć jako Scheurer; a gdy ten nad wszelkie spodziewanie wyzdrowiał, aptekarz Martinet do-

stawił w jego miejsce jakiegoś nieboszczyka, za co żądał i otrzymał 25,000 fr. Tak więc, lubo głównym motorem tego zuchwałego oszustwa był niemiec; ale dwóch francuzów, i to francuzów z inteligencji, służyło temu niemcowi za płatne narzędzia do okradzenia francuzkiego towarzystwa ubezpieczeń!... Ładna historia! Kochanka Scheurera podniosła z kasy towarzystwa 300,000 fr. i para gołąbków używała w ukryciu owoców genialnego pomysłu. Ale Scheurera zaslepiło powodzenie: stał się nieostrożnym; ujrzał go i poznał pewnego razu jeden z urzędników Towarzystwa — i oszustwo całe się wydało...

Sprawa Caffarela stała się jakoś w miejscu; nie wiele więcej szczegółów przybyło do niej: przejawia się nawet jak gdyby dążność do ograniczenia o ile możności jej rozmiarów. Opinia publiczna ma głównie na wątrobie Wilsona, który nigdy nie cieszył się sympatją publiczną, a dzienniki radykalne wzywają wprost p. Grévego, aby wybierał między zięciem a prezydenturą.

Za to sprawa Caffarela zrodziła kwestyę Boulanger'a. Boulanger przed korespondentami kilku dzienników objawił przekonanie, że minister Ferron wymyślił sprawę Caffarela, aby jego, Boulanger'a, skompromitować, ale że jego niewinność okaże się przy śledztwie. Dzienniki naturalnie pospieszyły z opublikowaniem tych interwiewów; dzienniki oportunistowskie obrzuciły się i zażądały ukarania Boulanger'a za obrazę ministra wojny. I minister zebrał całą odwagę w obie ręce i skazał Boulanger'a na trzydziści dni aresztu. Przez chwilę panowała wątpliwość czy Boulanger ulegnie i strach przed tem, co nastąpić musiało, gdyby nie uległ. Ale strach minął szczęśliwie — Boulanger poszedł do kozy. Co się stanie po dniach trzydziestu? Czy Boulanger wróci do dowództwa korpusu? Czy dostanie dymisyę? A w jednym i drugim razie jaki ta sprawa dalej obrót weźmie? Są to pytania, od których przyszłość Francji zależeć może. Boulanger jaki jest taki jest, ale zawsze jest potęgą z którą się liczyć trzeba. Ma on za sobą massy i całe stronnictwo radykalistów, którzy już dziś areszt jego trzydziestodniowy usiłują otoczyć aureolą męczeństwa. To podnieść go może jeszcze wyżej w oczach tłumów. Kwestya Boulanger'a jeszcze nie zamknięta.

Prasa ruska w tej chwili zajęta jest polemiką z „Gazetą krzyżową“, która ni ztąd ni zowąd, w artykule zatytułowanym „Polen“ wystąpiła z projektem czy pogroźką „odbudowania Polski przez Niemcy“, naturalnie z wyjątkiem ziem zostających pod berłem pruskim. Dotąd, o ile wiemy, odpowiedziały na ten niespodziewany *ballon d'essaye* organu junkrów pruskich: „Swiet“—„Nowoje Wremia“ i „Ruskiej kurjer“.

E. Jerzyua.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Pomnik Stanisława Moniuszki. Komitet budowy pomnika ś. p. Stanisława Moniuszki przyjął już wykończony i w przedsiomku kościoła Wszystkich Świętych ustawiony pomnik znakomitego kompozytora. W chwili gdy to piszemy, dzienniki zapowiadają nabożeństwo oraz poświęcenie pomnika na dzień 20 b. m.

Muzeum pszczelnicze na Koszykach. zachwiane poniekąd w swoim bycie,—zostało uratowane, a nawet, dzięki zainteresowaniu się niem ludzi dobrej woli, wejdzie, jak się zdaje, na drogę pomyślniejszej przyszłości. Obecnie, do zarządu Muzeum, powołani zostali p. p.: Adolf Bogucki i Bronisław Łempicki, kierunek zaś główny instytucji obejmuje ks. Józef Ambrożewicz.

Wyjaśnienie. „Warszawskij Dniownik“, z powodu artykułu pana Buckiewicza p. t. „Z bytu włościan“, wystąpił w N-rze 212 z obszernym artykułem wstępnym, którego autor twierdzi między innymi, że praca p. Buckiewicza jest pełną tendencyjną, względem chłopów złości, a „Rola“ jest organem ultra-szlacheckim, że dla niej „wszystkiem jest szlachce i wszystko dla niego“.

Otoż, wobec tych orzeczeń „Warszawskiego Dniownika“, jak również wobec jego sądu, z jednego artykułu *nadesłanego*, o całym piśmie, wypada nam koniecznie dać kilka słów obiektywnego wyjaśnienia.

Najpierw tedy, autor „Z bytu włościan“ nie miał wcale przypisywanych mu intencji; miał on tylko na celu przedstawienie i tych także stron chłopów, które przez piszących o stosunkach ludowych bywają zwykle pomijane. I chłop bo przecież, obok dodatnich, musi mieć cechy ujemne, a pan Buckiewicz chciał właśnie odstąpić te ostatnie dlatego, że w publicystyce są one najmniej może znane. Że jednak „Rola“ nie rządzi się, względem chłopów, jednostronnością, dowodzi tego, choćby — bezpośrednio

prawie po artykule p. Buckiewicza — pomieszczona (N-ra 40, 41 i 42) sylwecka p. t. „Maciej“, gdzie inne znów, w życiu tegoż samego chłopca, występują rysy.

„Rola“, objaśnić nam wypada dalej, nie jest organem jednej klasy, jak o tem sądzi referent „Dniownika“, z jednego artykułu pana Buckiewicza, lecz pragnie dobra całego społeczeństwa. Dla dobra większych właścicieli, pragnęlibyśmy naprzykład reformy handlu produktami rolnymi, bardziej przystępnego kredytu i t. d., podobnie jak dla dobra znowu rzemieślnika, protestowaliśmy w swoim czasie bardzo wyraźnie przeciw przyjmowaniu żydów do cechów i t. d. Co się zaś tyczy chłopów, toż i jego dobrobytu pismo nasze, gdzie potrzeba, broni systematycznie od początku swego istnienia. Artykuły takie, jak np.: „Lichwa i jej działalność na wsi“ (N-ra 7 i 8, rok 1883); „Kassy zaliczkowo-wkładowe po gminach wiejskich“ (N-ra 33 i 34, rok 1883); „Ochrona ludu“ (Nr. 42, rok 1884); „Przeciw lichwie na wsi“ (Nr. 4, rok 1884); „Nowa forma poddaństwa“ (rzecz o podstępem nabywaniu i wydzierzawianiu gruntów chłopskich przez żydów — N-ra 23 i 24, z roku 1885); „System drobnych dzierżaw“ (Nr. 6 z r. 1885); „Licytacje osad włościańskich“ (Nr. 37 z r. 1885); „Jeszcze o kassach pożyczkowych po gminach“ (Nr. 26 z r. 1887); — artykuły te, mówimy, i wiele jeszcze innych, świadczą o tem wyraźnie.

Słowem, „Rola“ broni ekonomicznych interesów szlachy, kupca chrześcijańskiego, rzemieślnika, czy chłopca, ile razy zwłaszcza interesa te wydają jej się zagrożone przez napór żydowski i nadmierny wyzysk tego żywiołu. To bowiem właściwie, w kwestyach społecznych i ekonomicznych, stanowi jej cel zasadniczy.

Z okolic Słucka piszą do nas: „Okolicę tutejszą, mianowicie przestrzeń położoną pomiędzy Słuckiem a Nieswieżem, nawiedziła klęska groźna w przyszłości. Jakieś nieznanne dotąd u nas robactwo zjada obszerne łany posiewu żyta. W niejednym majątku, na 30-stu i więcej morgach, dwukrotnie ponawiano zasiew, który jednak następnie znów został zniszczonym. Sądono pierwotnie, że tylko na ziemiach żyzniejszych robactwo to się gnieździ, następnie jednak okazało się, że i grunta zupełnie liche, obsiane żytem, ulegają temuż samemu losowi. Co przyczem jest dziwnem, to że po drugiej stronie Słucka i w przeciwnym kierunku, za Nieswieżem, zasiewy są już wcale nieuszkodzone. Jest to robak na pół cala długi, cienki, żółty, opatrzony sześcioma nóżkami, a pokryty łuską tak twardą, że w palcach nie daje się rozgnieść. Obecny chłód i deszcze nie zdołały go zniszczyć. Do niesłychanej tedy taniości zboża, braku zbytu i wysokiego cła, nałożonego przez księcia Bismarka, przybywa tutaj, dla nas rolników, nowa klęska.“

Z prasy. Wychodzący w Petersburgu, żydowski organ „Woschod“ pomieścił niedawno korespondencyę z Warszawy, gdzie, między innymi, znajdujemy następujące doniesienie:

„...Przyjazne zbratanie się (na wsi) pomiędzy żydami i włościanami-katolikami, bardzo się nie podoba naszemu stanowi klerykałno-szlacheckiemu! Skarżąc się, że pewna ilość żydów znajduje utrzymanie po wsiach (a z czego?—jeżeli wolno zapytać. P. R.), i wiedząc, że przewidujący włościanin-katolik, w skutek zbratania się z bardziej jeszcze przewidującym żydem, trudno będzie się poddawał ujarzmieniu (!) i zamienieniu go w ślepe narzędzie ich celów osobistych i stronnicych, panowie ci, przed niedawnym czasem wywołali ruch, na korzyść wydalania żydów ze wsi. Zaczęli oni dowodzić konieczności zakładania po wsiach „gospód chrześcijańskich“, krzyżowali że żydzi „wyzyskują“, i że ich zamieszkiwanie po wsiach grozi niemal całemu światu. Na szczęście, ci, od których sprawa zależała, dość wcześniej przzejrzeli, — „gospody“ zostały zamknięte, a ruch należyście powstrzymano.“

Ano, dobrze wiedzieć i o tem, jakkolwiek z drugiej strony, doniesienie co do owego „należytego powstrzymania ruchu“, wobec nowego projektu tyczącego żydów po wsiach osiadłych,—projektu który przecież i ten sam „Woschod“ niezbyt dawno pomieszczał, wydaje się, co najmniej, przedczesnem.

Sztuki plastyczne. Z końcem bieżącego miesiąca, ma być otwarta, w salonach warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych, czasowa wystawa konkursowa. W skład tej wystawy wchodzić będą: malowanie na szkle i porcelanie, miniatury, drzeworyty i wszelkiego rodzaju reprodukcje ręczne, jak również i ornamentacje. Dla każdego z trzech oddziałów, na które podzielona będzie wystawa, przeznaczono po jednej nagrodzie, w wysokości 50 rubli w złocie. Nadto, wydawane być mają listy pochwalne, za ednaczające się prace.

Z teatru i muzyki. „Parya“, tragedia w 5-ciu aktach, wierszem, K. Delavigna, w pięknym przekładzie W. Szymanowskiego i z muzyką St. Moniuszki, wznowioną została po 15-stu latach, na scenie teatru Wielkiego.

Teatr Nowy dawał w tych dniach przedstawienie—tysiączne. Dwadzieścia trzy przedstawienia operetki „Mikada“ przyniosły dochodu 12,000 rubli. To także znamię czasu.

Ważne pytanie! Pan *Posel Prawdy*, lękający się ciągle

„rozpróowania pierzyn“, zapytuje w ostatnim numerze specyficznjej swej... „Prawdy“, czemu antisemici nie zbadali dotąd jaki interes mogą mieć żydzi w podtrzymywaniu ogrodu zoologicznego? Ano, myśleli i myślą chyba ciągle, że coś przecie na tej operacji zarobią. A może zresztą idzie im o poklask *swojej* „Prawdy“... i dlatego poświęcają się dla — idei?

Zmarli: Ś. p. Franciszek Ruto wski, b. główny naczelnik wydziału kontroli b. Banku Polskiego, zasłużony professor buchaltery w b. Instytucji Gospodarstwa w Marymoncie — zmarł w Warszawie.

Ś. p. Ludwik ks. Jabłonowski, b. oficer b. wojsk polskich, autor licznych utworów poetycznych — zm. we Lwowie.

Ś. p. Mikołaj Akielwicz, popularny niegdyś współpracownik pism tutejszych, znany pod pseudonimem „Chłopa z Maryampolskiego“ lub „Agricoli“ — zm. w Paryżu.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

20 Października 1887 r.

Toruń. „Usposobienie wogóle mocniejsze, ceny pszenicy lepsze; żyto mocno i poszukiwane“.

Gdańsk. „Usposobienie ożywione, ceny na pszenicę wyższe“.

Tak brzmią wiadomości z rynków, które producentów naszych najbliżiej interesują, a i na targach warszawskich nie dzieje się gorzej.

Na placu Witkowskiego, za pszenicę wyborową płacono 6.60—6.80, średnią 6.30—6.40. Żyto wyborowe płacono już 4.10—4.20, średnie 4.00—4.05. Owies sprzedawano również po nieco wyższych cenach; dobry płacono po 2.60—2.80. Groch polny w średnim gatunku sprzedawano po 6.30—6.40.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 108—111, średnią 101—103, ordynaryjną 87—90 kop. za pud. Żyto wyborowe 69—71, średnie 65—67, ordynaryjne 60—63 kop. za pud. Owies wyborowy 73—76, średni 68—70, ordynaryjny 60—62.

W handlu okowitą niema zmian żadnych. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła 25³/₄ m. za 100 litrów: na rynku warszawskim płacono za garniec w sprzedaży hurtowej, 2.69—2.70, w detalicznej jak zwykle o parę kopiejek wyżej.

Rynek cukrowy odznacza się ciągle jednym i tym samym spokojem. Za rafinadę, za najlepsze marki płacono po rs. 3, za mączkę 2.57—2.58.

Na targu pragskim ceny bydła stepowego, przy zwyczajnej dostawie, pozostały bez zmiany. Natomiast wieprze coraz tańsze.

Na rynkach żywnościowych wszystko niemal drożeje. Masło bez soli płaci się 35—40 kop., śmietankowe 50—60 kop. Jarzyny i ogrodowizny, mimo znacznej dostawy, są również coraz droższe.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. Ks. Bor. w Kot. — Obydwie żydowskie; z firm chrześcijańskich: Parzelski — Senatorska 4; Kotecki — Leszno. Za życzliwość dziękujemy serdecznie.

Panu A. W. Buc. w Uj... — Odpowiemy wkrótce listownie. Nawal pracy nie pozwala nam zrobić tego w tej chwili, a odpowiedź musi być obszerniejszą nieco.

P. Grodzicki w Goraju. — Pomieszczamy bezpłatnie.

Semicie Nr. 1. — Już raz odpowiedzieliśmy panu, że z listami swojemi narzuca nam się dwóch „semitów“. Pan jesteś jednym a ktoś inny, równie nudny—drugim. Poprzednia odpowiedź odnosiła się do N-ru 2-go, więc o cóż idzie N-rowsi 1-mu? Przyjemnie nam jest że pan należysz do „najpilniejszych czytelników“ Roli, ale nie idzie za tem abyśmy mieli sobie psuć oczy nad odcyfrowywaniem pańskich listów. Jeżelibyś pan przeto chciał jeszcze kiedy „koniecz nie odpowiedzi“, to prosimy — pisać przynajmniej wyraźnie.

REKLAMY.

Madestane. Z folwarku Goraj (powiat Zamojski) skradziono przez złodziei zamieszkałych we wsi Baranowie (gub. Radomskiej, pow. Hżeckim) cztery wałachy; dwa po lat 4 w 5-tym, a dwa po lat 5 w 6-tym. Dwa ciemno a dwa jasno siwe; jeden z ciemnych miał na lewym udzie mały gruczołek, a siwy jasny w jabłku na kłębie, od skaleczenia szłą, szramę już zagojoną. Złodzieje, jak to zostało na śledztwie udowodnione, sprzedali konie w gub. Radomskiej, brak jednak wskazówek co do miejscowości, a złodzieje. poszukiwani przez policję, ukrywają się. Gdyby ktoś z p. p. Obywateli widział u kogoś opisane konie, lub też nabył je, nie wiedząc o ich pochodzeniu, — raczy łaskawie zawiadomić bezzwłocznie interesowanego, adresując: przez Frampol w Goraju (gub. Lubelska) Jan Grodzicki. (1-1)

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próźnej, z osobnym oddziałem **Stręceń** mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renomy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobdawcy spodziewać się mają prawo od Instytucji rządzącej się zasadami. (26—12)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercia“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-42
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

KUCHENKI BENZYNOWE od rs. 1 kop. 20.

„ **NAFTOWE** od rs. 1.

ŁÓZKA ŻELAZNE zwyczajne i ozdobne.

UMYWALKI.

NACZYNIA KUCHENNE.

NOŻE, NOŻYCZKI, oraz WYROBY ŻELAZNE,

po cenach umiarkowanych poleca

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych

Edwarda Dusoge

Nowy-Swiat Nr. 1

(róg Placu Ś-go Aleksandra).

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932—Budapeszt Nr. 1528.

Broszurka
Gwarancya



bezpłatnie.
15-letnia.

„**Exsiccator**“

Osusza wilgoć w starych domach, zabezpiecza **NOWE** od tejsze, niszczy **Grzybek**, zabezpiecza od **GNICIA** wszystko co z drzewa. **Dezynfektuje.** Zastępuje **OLEJNĄ FARBĘ** we wszelkich kolorach, będąc tańszym od tejsze o 50%.

52-4

Inżynier Ritter, *Królewska 39.*

NOWO OTWARTA (4—2)

WARSZAWSKA WINIARNIA

firmy **M. PARZELSKI i S-ka**

na sposób wiedeński à la **ESTERHAZY!!**

przy ulicy Miodowej Nr. 1.

w podwórzu na prawo,

poleca obficie zaopatrzone piwnice w Wina **KAUKAZKIE, KRYMSKIE i BESSARABSKIE**, wyłącznie naturalne, zakupowane osobiście, wprost od producentów.

W oryginalnie urządzonej piwnicy, jakoteż w pokojach, oprócz sprzedaży hurtowej na beczki i na butelki, sprzedają się Wina wprost z beczek na kufelki i szklanki.—Bufet zaopatrzony w różne zakąski.

Zamówienia przyjmują się również w kantorze firmy:
M. Parzelski i S-ka, przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nr. 4.

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dziecinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dziecinne, Kamasje wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich !!!

MAGAZYN BIELIZNY MĘSKIEJ

A. KIERST I S-ka

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi skuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26—15

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

J. WĄGROWSKIEGO

w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzony w wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk,—a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby po cenach umiarkowanych, a mianowicie:

Palta zimowe	od rs. 22	Spodnie	od rs. 5
Garnitury marynarkowe	„ 22	Kamizelki	„ 2.50
Surduty wizytowe	„ 20	Burki Sławuckie	„ 22
Garnitury tużurkowe	„ 28	Szlafroki	„ 12

oraz wielki wybór materiałów sztuczkowych na kamizelki od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie

w ciągu 24 godzin.

6 2



JÓZEF SKWIERCZYŃSKI

KRAWIEC.

Warszawa — Mazowiecka Nr. 8.

Poleca na sezon bieżący otrzymane materiały francuskie i angielskie oraz wszelkie przybory toalety męskiej.

3—3

KALESONY i KAFTANY

zamszowe, ze skór jelenich i innych—poleca na nadchodzący sezon zimowy

FABRYKA RĘKAWICZEK

FRANCISZKA PIÓRO (4-4)

Nr. 29 ulica Długa Nr. 29
(Hotel Polski).

Tamże przyjmuje się do prania Kalesony, Kaftany, skóry łosiewe i inne przedmioty skórzane.

KUFRY, WALIZY, TORBY, oraz WSZELKIE PRZYPORY DO PODRÓŻY.
TORBY myśliwskie, KARTUSZE, SIATKI, MANIERKI, OBROŻE, KAGAŃCE.
SZTYLPY skórzane i nieprzemakalne, do polowania i konnej jazdy.
KURTKI, SPODNIE i PŁASZCZE skórzane, na flanel i barankach.
BUTY ślicowe, POŃCZOCHY i KAFTANY dla myśliwych.
PORTFELE na papiery, PORTMONETKI, PORTCIGARETY, VISITE, WORECZKI i t. p.

FABRYKA i MAGAZYN (52—10)

T. L. BREYMEYER,—Warszawa
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

DIWANY, SERWETY, CHODNIKI
perskie, angielskie i krajowe,
w wielkim wyborze,
najtaniej w fabrycznym składzie

KILTYNOWICZA (10—8)

ulica Mazowiecka Nr. 16 wprost Erywańskiej.

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-37)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

KRÓLOWIE POLSCY 12—11

dla młodzieży, poczet z 43-eh portretów litogr. podług rysunków T. Malleszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli”, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2. kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

Magazyn Chrześcijański
W OSZMIANIE

zaopatryony we wszelkie towary kolonialne, wędliny i w ogóle w artykuły spożywcze, a nadto w przedmioty do ubrania służące—jak: w obuwie, bieliznę gotową, rękawiczki, krawaty i t. p. — wszystko dobre i tanie, — poleca się względem łaskawej Publiczności. (2—2)

WYDAWNICTWA LUDOWE

Janka Mrówki (Jana Jeleńskiego)

- 1) Odpowiedź ciekawemu Kubie, czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien (wydanie drugie) kop. 5 1/2
- 2) Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach (wyd. drugie) „ 7 1/2
- 3) Narada z Kubą, jakby sobie radzić bez żydów „ 7 1/2
- 4) Pogadanki w karczmie „ 7

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Skład główny w Czyteln. J. Jeleńskiego, Nowy Świat Nr. 4

J. TUROWSKI MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH
ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT ZWYCZAJNYCH. (52-40)
Nowy-Świat Nr. 23.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GALKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki. Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—5

SKŁAD MEBLI 13-7
MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwińtych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

MAGAZYN MEBLI (12—7)

Pracownia Tapicersko - Dekoracyjna

JÓZEFA DZIEGIELEWSKIEGO,

egzystująca 21 lat przy ulicy Ś-to Krzyżkiej Nr. 8, przeniesiona została na tę samą ulicę Nr. 5, vis à vis dawnego pomieszczenia.

Magazyn mój zaopatrzyłem w znaczny zapas Mebli najrozmaitszych fasonów krajowych i zagranicznych, oraz duży wybór garniturów gotowych — salonowych, budoarowych, gabinetowych i fantazyjnych.

Urządzenia całych apartamentów, jako też i drobniejsze roboty w zakres tapicerstwa i stolarstwa wchodzące, jak dawniej, wykonywać będę punktualnie przy nader niskich cenach.

Z czem się polecam JW. i Wielmożnym Panom, jak również moim stałym klientom, którzy mnie przez ten określony przeciąg czasu zaszczycać raczyli.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-3)

Nowo otworzona Fabryka Polska
TKANIN METALOWYCH

oraz

wszelkich Wyrobów Drucianych (52 49)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Białańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszelkie przybory paszelnicze. Sita do koniczyń białej i czerwonej, specjalnie przemennie ulepszone, które oczyszczają babkę, kaniankę i szawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do koniczyń czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kaskolu i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łódek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryżkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuskie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

MAGAZYN BŁAWATNY
W. KLECZYŃSKIEGO
Krakowskie Przedmieście 64

(Resursa Obywatelska)

otrzymał wielki wybór towarów na sezon bieżący i poleca takowy Szanownej Publiczności po cenach bardzo niskich, a mianowicie :

Materyały półwełniane gładkie po kop. 13, 20, 22 1/2, 25, 30, 35.

Materyały w kratkę podwójnej szerokości po 30, 40 i t. d.

Materyały czysto wełniane podw. szerok. od k. 60 za łokieć.

Flanele podwójnej szerokości po kop. 50, 60, 75, 90, 1,00, 1,25.

Kaszmiry czarne po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,25, 1,50, 1,80 i t. d.

Armury na pokrycie szub po rs. 1, 1,20, 1,40, 1,50, 1,80, 2, 2,50, 2,80.

Barchany białe od kop. 13 — 40.

Perkale białe od kop. 9 za łokieć.

Płótno Jarosławskie 33 łok. od rs. 7 za sztukę.

Viktorya po kop. 22 1/2, 25, 30, 35 i t. d.

Pika biała barchan po kop. 35.

Półplótna na łokcie od kop. 8.

Madapolamy na łokcie i sztuki po cenach niskich.

Korty po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,30, 1,50 i t. d.

Velvety czarne i kolorowe angielskie w wielkim wyborze.

Chustki wełniane duże od rs. 2,50.



FABRYKA I SKŁAD
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży,

F. Balukiewicza

W WARSZAWIE

Białańska Nr. 9, Hotel Paryżki.

FABRYKA
SZCZOTEK I PĘDZLI
K. Martwicz
w Warszawie — ul. Marszałkowska Nr. 147.

Treść numeru : Gospodarka finansistów warszawskich IV. — Listy z Galicji. — Francya żydziła (d. c.) — Idealy belletrystyki pozytywnej (d. c.) — Co najtrudniej? (wiersz) przez Woj...skiego. — Na posterunku, feljeton Kamiennego — Z całego świata — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. W odcinku: Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.)

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 8 Октября 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)